Przeczytaj fragment „Fedona” w tłumaczeniu Ryszarda Legutki

„Fedon” to kolejny dialog sokratejski w nowym tłumaczeniu, który Teologia Polityczna wraz z Ośrodkiem Myśli Politycznej i Państwowym Instytutem Wydawniczym przygotowuje do druku. By się to jednak mogło stać potrzebna jest pomoc Darczyńców. Ufamy, że lektura fragmentu przekładu Ryszarda Legutki zachęci Państwa do wsparcia tego przedsięwzięcia. Dziękujemy za każdą wpłatę!

Wesprzyj wydanie „Fedona” i zostań mecenasem Biblioteki Klasycznej!

„(…) Jak widać z powyższego, o swoją duszę winien być spokojny człowiek, który przez całe życie odrzucał przyjemności ciała oraz cielesne ozdoby, uważając, że są to rzeczy obce, czyniące więcej szkody niż dobra, natomiast poświęcił się przyjemnościom, jakie daje nauka, a duszę swoją przystroił nie żadną ozdobą obcą, lecz jej własną: opanowaniem, sprawiedliwością, męstwem, wolnością, prawdą; tak przygotowany, czeka on na podróż do Hadesu, gotów wyruszyć w drogę, kiedy tylko los go wezwie. Jeśli o was idzie, Simmiasie, Kebesie i wszyscy pozostali, to wasza podróż odbędzie się kiedyś w przyszłości, natomiast w moim przypadku los mnie wzywa teraz, jak powiedziałby bohater tragedii. Pora więc, abym udał się do kąpieli. Doprawdy lepiej jest wykąpać się przed wypiciem trucizny i zaoszczędzić kobietom kłopotu, jakim jest mycie trupa”.

Po tych słowach Kriton rzekł: „W takim razie, Sokratesie, jakie zlecenia masz dla przyjaciół tu obecnych bądź dla mnie w sprawie twoich dzieci, albo w innych jakichś sprawach? Jak możemy ci się jeszcze przysłużyć?”

„Tak, jak to zawsze powtarzałem – powiedział. – Nic nowego, Kritonie. Jeśli będziecie dbać o samych siebie, to wasze działania – jakiekolwiek by nie były – przysłużą się mnie i moim bliskim, a także wam. I to nawet wówczas, gdy żadnych obietnic dziś nie złożycie. Jeśli natomiast

nie będziecie dbać o siebie i nie zechcecie pójść tą drogą życia, jaką wytyczyły nasze dyskusje, dzisiejsza i wcześniejsze, wtedy niczego nie osiągniecie, choćbyście składali w tym momencie wiele mocnych obietnic”.

„Spróbujemy zatem postępować zgodnie z tym, co mówisz – powiedział. – A jak ma wyglądać twój pogrzeb?”

„Tak, jak będziecie chcieli – odparł – o ile tylko mnie złapiecie, a moja ucieczka się nie uda”.

Przy tych słowach uśmiechnął się łagodnie i patrząc na nas, rzekł: „Przyjaciele, nie mogę przekonać Kritona, że ja, Sokrates, jestem właśnie tym, który teraz rozmawia i który próbuje wprowadzić ład w każdą z naszych wypowiedzi. On sądzi, że ja to owo martwe ciało, jakie za chwilę zobaczy, i dlatego pyta mnie o mój pogrzeb. A w sprawie tej, której tyle czasu i argumentów poświęciłem – że kiedy wypiję truciznę, nie pozostanę wśród was, lecz odejdę do krainy szczęśliwości – to, wydaje mi się, on ma inną opinię: że pocieszałem was i siebie. Dajcie więc, proszę, Kritonowi za mnie poręczenie, przeciwstawne temu, jakie on złożył za mnie sędziom na procesie. On przysięgał, że ja tu będę trwał; wy natomiast powinniście przysiąc, że po śmierci wcale tutaj nie pozostanę, lecz stąd odejdę. W ten sposób Kriton lepiej wszystko zniesie, a widząc, jak moje zwłoki będą palone lub grzebane, nie będzie już z mojego powodu rozpaczał, tak jakbym doznawał strasznych nieszczęść. Nie będzie mówił w czasie pogrzebu, że Sokratesa kładą, odprowadzają do grobu czy w nim chowają. Wiedz bowiem, drogi Kritonie, że złe użycie słów nie tylko jest samo w sobie uchybieniem, ale wszczepia w dusze zło. Trzeba więc, byś miał ufność i mówił, że w mojego ciała pogrzebie uczestniczysz. A co do samego pogrzebu, to niech będzie taki, jaki uznasz za odpowiedni i jaki wyda ci się najbardziej zgodny z obyczajem”.

Po tych słowach wstał i wyszedł do innego pomieszczenia, aby się wykąpać. Kriton podążył za nim, a nam powiedział, abyśmy poczekali. Czekaliśmy więc i rozmawialiśmy ze sobą, zastanawiając się nad rzeczami, jakie zostały powiedziane, a później znowu roztrząsając

ogrom nieszczęścia, jakie na nas spadło. To tak, jakbyśmy byli dziećmi, które mają stracić ojca i jakbyśmy mieli przez resztę życia pozostać sierotami.

Po kąpieli przyprowadzono do niego dzieci – miał dwóch małych synków i jednego starszego – a także przyszły kobiety z jego rodziny. Porozmawiał z nimi w obecności Kritona i wydał jakieś polecenia; następnie nakazał kobietom i dzieciom odejść, sam zaś powrócił do nas. Niewiele już pozostało do zachodu słońca, jako że dużo czasu zajęły mu tamte sprawy. Podszedł więc i usiadł, świeżo po kąpieli, ale już niewiele powiedział.

Wkrótce zjawił się przed nim posłaniec Kolegium Jedenastu i rzekł: „Przynajmniej do ciebie nie będę miał pretensji, Sokratesie, tak jak mam je do innych za to, że gniewają się na mnie i przeklinają, kiedy z rozkazu rządzących przychodzę do nich z nakazem wypicia trucizny. Przez cały twój pobyt tutaj poznałem cię jako najszlachetniejszego, najłagodniejszego i najlepszego z wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek przez to miejsce przeszli. Także dzisiaj jestem pewien, że nie na mnie się gniewasz, lecz na innych, o których wiesz, że ponoszą odpowiedzialność. No cóż. Znasz wiadomość, jaką ci przynoszę. Żegnaj zatem i staraj się znieść to, co nieuchronne, tak łatwo, jak potrafisz”.

Potem odwrócił się ze łzami w oczach i odszedł. Sokrates spojrzał za nim i powiedział: „Żegnaj i ty, a my zrobimy tak, jak rzekłeś”. Jednocześnie zwrócił się do nas: „Cóż to za zacny człowiek. Odwiedzał mnie tutaj cały czas, niekiedy wdawał się w rozmowę i był najlepszym z towarzyszy. A i teraz taką życzliwość okazuje, opłakując mnie. No cóż, Kritonie, posłuchajmy go: niech ktoś przyniesie truciznę, jeśli jest już roztarta. Jeśli zaś nie, to niech ów człowiek ją przygotuje”.

„Ależ, Sokratesie – odrzekł Kriton – wydaje mi się, że słońce znajduje się ciągle ponad górami i jeszcze nie zaszło. A poza tym wiadomo mi, że niektórzy wypijają napój długo po wydaniu rozkazu, najpierw zaś dobrze zjedzą i wypiją, a niekiedy zabawią się z tymi, których pożądają. Nie śpiesz się zatem. Zostało wszak jeszcze trochę czasu”.

Na to Sokrates: „To całkiem normalne w przypadku ludzi, o których mówisz, ponieważ sądzili oni, że coś na tym zyskają. Co do mnie, to normalne będzie nie robić tych rzeczy, jako że ja nie uważam, bym cokolwiek zyskał na niewielkiej zwłoce w wypiciu trucizny. Narażę się tylko na śmieszność we własnych oczach, trzymając się kurczowo życia i robiąc oszczędności na tym, z czego już nic nie pozostało. Pójdź więc i zrób to, o co proszę, nic innego".

Po tych słowach Kriton skinął na chłopca stojącego nieopodal. Ten wyszedł, a po niedługiej chwili powrócił z człowiekiem, który miał podać truciznę i który już ją niósł przygotowaną w naczyniu. Sokrates, gdy go zobaczył, powiedział: „Ty, przyjacielu, znasz się na tych sprawach. Cóż mam zrobić?"

„Po prostu wypić – ów odparł – a następnie pochodzić trochę, aż poczujesz, że nogi stają się ciężkie. Wtedy się połóż, a reszta sama się dokona".

Mówiąc to, podał naczynie Sokratesowi. Ten wziął je z całkowitym spokojem, Echekratesie, bez drżenia, nie zmieniając koloru twarzy ani jej wyrazu. Patrząc na owego człowieka tym swoim zwykłym mocnym spojrzeniem, powiedział: „A co ty na to, gdybym tak odlał komuś część z tego napoju na ofiarę? Wolno tak zrobić czy nie?"

„Przygotowujemy tylko taką ilość, Sokratesie, jaką sądzimy, że trzeba wypić" – odpowiedział.

„Rozumiem – odparł Sokrates. – Ale modlić się do bogów chyba wolno, a nawet trzeba, aby przejście z tego świata do tamtego przeszło szczęśliwie? O to się modlę i oby tak się stało".

Powiedziawszy to, podniósł naczynie do ust i wypił napój w całkowitym spokoju, bez okazywania niesmaku. Do tego momentu większości z nas udawało się powstrzymać łzy. Lecz gdy widzieliśmy go, jak pije i jak kończy pić, dłużej już nie wytrzymaliśmy. Mnie łzy same popłynęły po

policzkach. Ukryłem więc twarz w dłoniach i zapłakałem – nie nad nim, skądże, lecz nad samym sobą i nad własnym losem, że tracę takiego przyjaciela. Kriton już wcześniej ode mnie wstał i wycofał się, nie mogąc opanować płaczu. Apollodoros od dłuższego czasu szlochał nieprzerwanie, a teraz załkał tak głośno i boleśnie, że wszyscy załamaliśmy się, z wyjątkiem samego Sokratesa, który rzekł do nas: „Cóż wy robicie, przyjaciele? Dziwni z was ludzie. Odesłałem wszak kobiety właśnie dlatego, żeby nie robiły zamieszania. Śmierć, jak słyszałem, wymaga zbożnego milczenia. Zachowajcie więc spokój i siłę”.

Gdy to usłyszeliśmy, zrobiło nam się wstyd i powstrzymaliśmy łzy. Sokrates chodził tam i z powrotem aż do momentu, gdy, jak nam powiedział, nogi zaczęły mu ciążyć i położył się na wznak – tak, jak mu ów człowiek zalecił. Wówczas ten, który dał mu truciznę, dotknął go, i jął co jakiś czas sprawdzać mu stopy i golenie. Następnie ścisnął mocno jego stopę i zapytał, czy coś czuje.

Sokrates na to, że nie. Potem tamten dotknął jeszcze goleni i przesuwając rękę coraz wyżej, pokazywał nam, jak Sokrates stygł i sztywniał. Ciągle go dotykając, powiedział, że gdy zimno dojdzie do serca, nastanie koniec. Drętwota doszła już do podbrzusza, kiedy Sokrates odsłonił twarz – do tej pory miał ją zakrytą – i odezwał się. Były to jego ostatnie słowa: „Kritonie, jesteśmy winni Asklepiosowi koguta. Nie zapomnij spłacić tego długu”.

„Tak się stanie – rzekł Kriton. – Czy jeszcze coś?”

Na to pytanie nie było już odpowiedzi, ale po krótkiej chwili Sokrates drgnął, a ów człowiek odsłonił mu twarz: spojrzenie było nieruchome. Widząc to, Kriton zamknął mu usta i oczy. Taki, Echekratesie, był kres życia naszego przyjaciela, o którym możemy powiedzieć, że był w tamtych czasach najlepszym ze znanych nam ludzi, a także najmądrzejszym i najsprawiedliwszym.

przełożył Ryszard Legutko

Wesprzyj wydanie „Fedona” i zostań mecenasem Biblioteki Klasycznej!

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego